

ROZDZIAŁ 14

POKRÓTCE

Oto opowiadanie napisane przez wychowanka Jana Wilgę, które zostało sfotografowane przez tajnego agenta Wielkiego Wychowawcy w czasie sekretnej rewizji w mieszkaniu. Na końcu znajdujemy adnotację sporządzoną osobiście przez Wychowawcę. Cała historia o wychowywaniu jest opowiadana zupełnie konkretnej osobie, czego można było się domyślać już wcześniej. Komu i po co? Dlaczego Wielki Wychowawca z takim pietyzmem odtwarza wybrane szczegóły z życia swojego Wilgi? Czemu autor to za nim powtarza? Czytelnik ma jeszcze inne fascynujące zadania do rozwiązania.

PTAK – opowiadanie

Autor: Wilga J.

Pewnego dnia w naszym świecie odbywał się pogrzeb. Umarł Imię Madej. Jego zwłoki przywieziono do kościoła z piwnic służby bezpieczeństwa. Prokurator generalny orzekł, że na podstawie sekcji ciała zmarłego nie wolno nikogo pochopnie oskarżać. Dlatego nad miasto napłynęła fala burz. Przez tydzień z chmur iskrzyło, z nieba lało się błoto, ustała praca urzędów, fabryk i szewców.

Wszelka ludność siedziała w domach. Była cisza. Tylko chrzęst gąsienic od czasu do czasu. Czółgi otoczyły cały dystrykt. Potem znowu cisza. Czarne samochody ustawiały się wokół trasy, którą miał przejść ubogi kondukt. Czarno odziani mężczyźni odslonili pistolety i wyskoczyli z samochodów pancernych. Korki oddziałów policyjnych zatkały wszystkie wyloty ulic. Broń maszynową wymierzono w okna kamienic.

W tej samej dzielnicy od czterdziestu lat mieszkał Imię Ptak. Od czterdziestu lat wychodził z domu bardzo wcześnie, a wracał późno, aby jak najmniej osób widziało, że istnieje. Marzył, aby kiedyś udało mu się kupić pancerne szyby do okien i drzwi ze stali szwedzkiej.

Żył zawsze na uboczu, zawsze z dala od zawieruchy, zawsze uległy, gdy mu kazano, i smutny, gdy odbierał pensję, za którą nic nie mógł kupić, bo nie wystarczała na zapalki. Jadł państwowe obiady, ale kolacje musiał już jeść własne. I na to mu już nie było grosza. Nie miał nawet ubrania. Waciac i walonki straciły dawny, elegancki fason. Jakże mógł się komuś pokazać w tak zniekształconym stroju. Zrezygnował z poszukania odpowiedniej kobiety.

Nikt mu nie był potrzebny, więc i on potrzebny się nie czuł. Jeśli byli jacyś ludzie na świecie, to tacy, którzy go straszili swoją obecnością. Przecież każdy może być niebezpieczny. Każdy może zarazić chorobą albo pracą. Lepiej się nie narażać, to skracca życie. Został zatem tylko telewizor, którego szyba wystarczająco oddzielała od pozostałych. Matka umarła, ojca nie pamiętał. Właściwie było mu z tym wszystkim tak dobrze, że nie obchodziły go cudze awantury o kawałek chleba.

Tymczasem z kościoła pod wezwaniem świętego Stanisława wyszła czarno odziana kobieta z prawą ręką na temblaku. Milicjant, który zabił syna kopnięciem w śledzionę, następnie złamał przedramię matce, aby nie mogła przeżegnać się krzyżem. Trumnę ze zwłokami wrzucono do szarego samochodu. Ksiądz wypowiedział kilka słów modlitwy i wrócił do świątyni. Nie chciał prowokować uzbrojonych kordonów.

Kondukt ruszył.

Ulica była pusta. Nikt nie odważył się oddawać czci ofierze. Ofiara zawsze ciągnie za sobą oprawcę, a ten stale planuje dalsze zbrodnie.

Imię Ptak siedział u siebie przed telewizorem i obserwował sprawozdanie z pogrzebu.

Spiker głośno się żalił, że zmarły Imię Madej został dotkliwie pobity przez lekarzy, i doznał wylewu krwi do brzucha, po czym przez pięć dni męczył się bez jakiegokolwiek pomocy. Złapano trzydzieści karettek pogotowia ratunkowego ze złymi lekarzami i wykryto, że co najmniej ośmiu mogło być zbrodniarzami. Natychmiast skazano

ich na ciężkie roboty, odbierając prawo do praktyki lekarskiej nawet w kamieniołomach. Imię Ptak był tym przerażony, bo właśnie zamierzał pod osłoną najbliższej nocy pójść do dentysty. Teraz będzie musiał zrezygnować, przecież nie narazi siebie na bicie po głowie albo wstrzyknięcie trucizny w dąsłko.

Kondukt jechał bardzo powoli, ponieważ nie udzielono licencji, a z samochodu wyjęto silnik i podłogę w sfoferce. Kierowca opuścił nogi na jezdnię, aby odpychać pojazd. Jeden krok wystarczał ledwie na ćwierć obrotu kół. Matka zmarłego Madeja zeskoczyła na asfalt, aby karawanowi było lżej. Ciężar, jaki dźwigała w sercu, był ogromny.

Imię Ptak widział na ekranie potężny tłum kroczący za szarym samochodem z trumną. Co chwila wznoszono okrzyki. Żądano likwidacji medycyny wraz z lekarzami. Spiker namawiał widzów na kieliszek koniaku. To najlepsze lekarstwo na wszystko.

Kamera od czasu do czasu przybliżała się do twarzy pięknej matki zabitego Madeja. Ta twarz była tak śliczna, delikatna i świeża, że Ptak podciągnął stołek pod kolana. Chciał się w nią wpatrywać bez przerwy, ale obraz po chwili przesunął się na gromady ludzi z transparentami i buzia chowała się poza ekran. Imię Ptak zagryzał wtedy wargi do bólu.

Tymczasem na prawdziwej ulicy osamotnione auto pogrzebowe sunęło wśród ciszy zakłócającej jedynie szczękiem sprawdzanych zamków w karabinach. Z rzadka odzywało się szczekanie milicjanta, który nadawał komunikat przez podręczne radio. Gdzieś spadły liście z drzew, które zaczęły gwałtownie schnąć. Gałęzie zwiotczały i zsunęły się ku ziemi. Samochód, pchany nogami szofera, musiał się teraz przedzierać między stertami chrustu otaczającego nagie słupy pni.

Imię Ptak miał przed sobą wizerunek twarzy tej cudownej kobiety ukazanej przez telewizję. Już nie dostrzegał innych obrazów. Sięgnął po pismo pornograficzne, aby obudzić swoje dawne zainteresowania, rozłożył na stole, ale to na nic, potrzebna mu była żywa kobieta. Znowu przez moment zobaczył ją na ekranie. Kadr trwał dłużej niż zwykle, jakby odgadnięto potrzeby Ptaka. Jednak za krótko, aby spełnić pożądanie. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Już nie patrzył na telewizor. Lekliwie odsłonił firankę.

Zobaczył aleję ze sterczącymi kikutami kasztanowców, zawałoną chrustem, liśćmi i konarami. Pośrodku długiej drogi przesuwał się popielaty, mały autobus, za którym chwiejnie, drobnymi krokami stapała kobieta zawinięta w zwój czarnej papy. Ptak bezskutecznie wypatrywał ludzi. Chwycił lornetkę i przybliżył ją do oczu, ale nie ujrzał nikogo więcej. Matka zmarłego widoczna była tylko z tyłu. Mógł sobie wyobrazić, jak wygląda, bo przecież ciągle miał jej wyrazistą urodę przed oczami.

Teraz zerknął na telewizor. Tak, kamery się nie myliły. Wszystko to samo, ta ulica, ten samochód i ta kobieta. Jedynie tłumy różniły oglądane obrazy. W telewizji szły równe czwórki, a na ich czele podskakiwali sekretarze.

Imię Ptak przetaił oczy. Był chory, najwyraźniej dokuczają mu gorączka. Szybko zmierzył temperaturę pod pachą. Miał czterdzieści stopni ciepła. Jednak odwrócił termometr i odczytał pięć. Mała pociecha. Czterdzieści to za dużo, pięć za mało. Był zatem chory na jedną z dwóch możliwych temperatur. Przeraził się swoim stanem. Od dawna podejrzewał, że nie jest normalny, ale nie sądził, że aż tak bardzo. Wiele lat temu przestały mu smakować papierosy, a po jednym kieliszku wódki wymiotował szklaną szluczką. W pracy zwrócono mu uwagę, że jest zielony i oczy wystają jak na szpułkach.

Otworzył okno. Rozległy się strzały, ale żaden nie trafił go w głowę. Sypały się szyby, zawaliła się roztrzaskana futryna. Ośmielony nieskutecznością kanonady, stanął na parapecie i rozłożył ręce, po czym odepchnął się nogami.

W chwilę potem podnosił się z kałuży krwi na chodniku. Nie zważał na kule, które go siekły wściekłymi seriami. Wyjmował je z ciała i rzucał za siebie. Ruszył za konduktem. Miał kilkaset metrów do przejścia, a że szło mu się całkiem dobrze, wkrótce dogonił kobietę z gipsem na ręku. Zostawiał na drodze czerwone ślady stóp.

Ze zdumieniem zauważył, że z kilku okien w budynkach otaczających aleję wyskoczyło wiele innych osób. Również i one podnosiły się z wysiłkiem, podbiegały do Ptaka i formowały pochód. Nad jezdnią ciemniało od pyłu wzniesianego przez szalejące pociski. Kurz wdierał się w oczy, usta i uszy. Mimo to tłum rósł z chwili na chwilę, aż

wypełnił trasę po brzegi. Grzmot strzelaniny był ogłuszający, domy drżały w posadach. Ludzie szli po trupach i nie zważali na nic.

Samochód stanął. Kierowca z dziurą w czole zwałił się z szoferki jak wiotka kłoda. Jednak mężczyźni naparli na tył wozu i popchnęli go barkami. Kondukt ruszył dalej wśród nieprzejezdanej kanonady. Ptak już miał się przyjrzeć twarzy kobiety, ale auto zaczęło zbaczać, więc wskoczył do kabiny i kierownicą wyprostował kierunek jazdy.

Na szczycie kikuta jednego z drzew pojawił się fotoreporter. Potem widziano go na innym pniu, na stopionej od żaru ognia artyleryjskiego latarni, na drutach telefonicznych. Ludzie wznosili ręce do góry z rozstawionymi dwoma palcami na wzór litery V. Ociekali potem. Podpierali się nawzajem, aby wytrwać w marszu.

Imię Ptak kurczowo trzymał kierownicę. Strzał wyrwał z jego twarzy kawałek szczęki. Jechał przebierając energicznie nogami. Wspierany przez pchających, ciągnął ten samochód. Gorączka trawiła go bardzo silnie, w brzuchu czuł płomień.

Kiedy zbliżyli się do celu, grabarze czekający z łopatami porzucili narzędzia i uciekli w głąb cmentarza, chowając się za stare groby. Milcząca cisza, wskazująca rozkraczonymi rękami niebo, wdarła się i oblepiła drzewa. Pośrodku parku ziała wielka dziura, wykopana dla wiezionej trumny.

Imię Ptak wyszedł z szoferki i odszukał wzrokiem matkę zabitego Madeja. Spomiędzy czarnych zwojów widać było plamę głowy tej młodej kobiety. Zbliżył się, bo chciał zobaczyć twarz. Ale twarzy nie było. Na jej miejscu widniało złotawe cierpienie, błyszczący, szklisty ból. Podniecony tak wspaniałym zjawiskiem podbiegł jeszcze bliżej i przytulił do siebie delikatną figurkę. Poczul słodki oddech zgryzoty. Dotykał porcelany.

Miał już mało krwi w sobie, więc nie słyszał szelestu trumny wpuszczanej do dołu, ani złowrogiego szmeru tysięcy ludzi. Słowa wypowiedane nad grobem były puste i kołatały w jego uszach jak stalowe kulki.

Obejrzał się. W alei ślady po pogrzebowym marszu były wyraźne. Setki ludzi padłych głową do przodu. Wstrząsnęło to nim straszliwie. Niektórzy jeszcze drgali. Upadł prosto na świeżo wzruszoną ziemię.

Imię Ptak ocknął się, pobudzony dusznością. Leżał skrępowany, nie mógł zrobić żadnego ruchu. Nad sobą, tuż nad twarzą zobaczył

gładko ostrugane deski. Tracił oddech, nie było powietrza. Jeszcze słyszał stuk grudek gliny spadających na jego trumnę. Jeszcze docierał do niego pobożny śpiew. Odpływała przytomność. W gasnącej świadomości znów pojawił się wizerunek ślicznej dziewczyny, która odprowadzała syna na wieczny odpoczynek. Czuł, że będzie ją kochał. Chciał mieć z nią dziecko i wychować je na dużego chłopca. Chciał, aby była mu matką, żoną i wolnością.

Na ekranie niewyłączonego telewizora w mieszkaniu Ptaka jeszcze raz pokazano piękną dziewczynę. Kamera nieco odjechała. Można było zobaczyć prawie całą postać. Trzymała za skrzydło bociana, który się do niej łąsił i przymilał ze zdechłą żabą w dziobie. Była w ciąży.

Zanim sąsiedzi się zorientowali, odbiornik pokazywał obrazy jeszcze przez dwa tygodnie. Kiedy postanowili włamać się do mieszkania, zastali okropny widok. Imię Ptak siedział martwy na fotelu z pogryzionymi oparciami. Z głośnika telewizora szedł marsz wojskowy. Podłoga usiana drzazgami trzeszczała pod nogami.

Tę śmierć trzeba było ukryć. Nikt nie chciał pozwolić, aby powtórzył się pogrzeb Madeja. Imię Ptak został cichcem pochowany w jednej z warszawskich piwnic.

KONIEC OPOWIADANIA

NOTA

Tekst, który przytaczam panu prezydentowi w całości, jasno określa intencje autora, młodego Jana Wilgi. Zrozumiałem na tej podstawie, że wie on o życiu w naszym kraju więcej, niżby wynikało z raportów. Wilga zapragnął odrzucić od siebie cały balast tej zaskakującej wiedzy i wyciągnąć wnioski. A najprostszym wnioskiem, jaki musiał się nasuwać, było to, że konieczne jest podjęcie walki ze stylem życia, który pozbawia człowieka duszy. To sprzyjało naszej wielkiej strategii i miało dość duży wpływ na taktykę. Wystarczy panu podać, że pani Malinna zna to opowiadanie na pamięć i uważa je za modlitewną przypowieść. Adres piwnicy nie jest tu istotny. W dodatku cała ta nowelka została zadedykowana przez autora wybitnemu fotografowi Erazmowi Ciołkowi z opozycji, który to krył się i przemykał w koronach drzew wzdłuż całej trasy przemarszu pogrzebu Grzegorza Przemyska

(co za zbieg wyrazów, prawda? wręcz agresywnie nieprzypadkowy, co wskazuje, jak ostro należy ich tępić), syna Barbary Sadowskiej, i wbrew zakazom robił zdjęcia, które następnie ukrył tak doskonale, że solidna rewizja do dziś niczego nie wykazała, a Wilga je jednak gdzieś ma. W sumie artyści tradycyjnie są przeciw nam.

TEKST TAJNY: Y nto tsi einy cinwip serda. Sceiwopyz r'pan we tildom az ej azawu. I ceimap an eina dai wopoot an zan nilam inap.
(Wiel. Wych.)

ROZDZIAŁ 15

POKRÓTCE

Redaktor Jan Wilga nadal ma kontakty z władzą, czyli urzędem bezpieczeństwa, który kontroluje jego zdaniem wszystko. To daje siłę, przewagę nad pospolitym otoczeniem i wreszcie niezależność. Redaktor wyprowadza się od matki, aby uzyskać wolność.

Byłem w punkcie wyjścia, świeżo narodzony i nietknięty, nie czułem żadnych marionetkowych nitek,

Które by mną poruszały w jakimś codziennym rytmie, w

Którym się idzie od punktu do punktu i po pewnej spirali wspinającej się powolutku ku gorze, kompletna pustka,

Której nie wypełniłem ani trochę moją niesamowicie zażartą pracą,

Której się oddałem jeżdżeniem po zjazdach naukowych, klinikach i zakładach badawczych, opracowywaniem koncepcji podręczników z różnych dziedzin, namawianiem utalentowanych docentów, przekonywaniem twardogłowych profesorów,

Którzy byli gotowi wspinać się po krótkiej spirali tworzonej przez zdolnych wychowanków, ale nie byli gotowi zaakceptować tego, że zdolni wychowankowie są młodzi i dlatego bardziej wartościowi od utalentowanych profesorów, a podręczniki z poszczególnych dziedzin miałyby większą szansę na druk.

Ja jednak byłem całkowicie pusty wewnątrz i jeszcze bardziej próżny na zewnątrz, aż mi to ktoś jakimś gestem próbował wyjaśnić i dać do zrozumienia, i wytknąć, a Katarzyna dostarczyła maszynopis jeszcze lepiej opracowany niż poprzedni, i czekała, co powiem, ale nie miałem ochoty czegokolwiek podziwiać, ani w ogóle zauważać, że to ona zrobiła,